17. marca 1866. **Nr. 11.** Rok I.

Wychodzi we Lwowie co sobotę, arkusz lub półtora.
Prenumerata w miejscu: 6 zł. 50 ct. rocznie — 3 zł. 25 ct. półrocznie — 1 zł. 65 ct. kwartalnie — 55 ct. miesięcznie.
Numer pojedyńczy kosztuje 15 ct.

TYGODNIK NAUKOWY I LITERACKI.

Zamiejscowa w Austrji: 7 zł. rocznie — 3 zł. 50 ct. półrocznie — 1 zł. 80 ct. kwartalnie — 60 ct. miesięcznie.
Redakcja i administracja pod l. 168 m. przy ulicy Dominikańskiej.
Expedycja i miejscowa prenumerata w księgarni J. Milikowskiego.

O tworzeniu się ziemi.

Odczyt miany na korzyść uczniów Akademji technicznej we Lwowie podany według własnoręcznego opracowania przez

prof. Płachetkę.

Gieologja, czyli umiejętność obejmująca wszelkie twierdzenia o powstaniu i powolnem przeobrażaniu się ziemi naszej, jest w pierwszych okresach rozwoju swego bez wątpienia nie mniej starą jak dzieje ludzkości. Pojęcie bowiem początku i końca, nasuwające się mimowoli każdemu, ktokolwiek się nad znikomością świata zmysłowego bliżej zastanowi, musiało już w kolebkowym stanie rodu ludzkiego podawać dostateczne powody do rozmyślania nad utworzeniem się i możliwą przyszłością tej części wszechświata, którą my pośród niezliczonych innych ciał niebieskich zamieszkujemy. O tem świadczą tak bajeczne tradycje najstarożytniejszych narodów, jak też przechowane podziśdzień jeszcze zabytki naukowe starożytnych filozofów, których wielkość pomysłów teraz jeszcze podziwiamy, jakkolwiek najmniejszej nawet podstawy prawdziwości w nich znaleźć nie możemy.

Jeżeli wszakże w umysłowych dążnościach tego rodzaju z dawno minionych wieków na próżno szukamy tej oświaty, której stan wiedzy dzisiejszej, a mianowicie pod względem nauk przyrodniczych słusznie wymagać jest upoważniony, to powody do tego mogły polegać albo na braku lub niedostatecznem wydoskonaleniu umiejętności pomocniczych, albo też na zbyt wypotęgowanej czci dla ksiąg świętych starego przymierza.

Co się tyczy względu pierwszego, trudno wymagać, by astronomja, fizyka, chemja i mineralogja, a nawet w pewnym zakresie zoologja i botanika, nauki, które dopiero w ostatnich stuleciach a nawet lat dziesiątkach doszły do rzędu prawdziwych umiejętności, mogły już badaczom starożytnym godnie przysługiwać się w tworzeniu rzeczonych teorji; filozofja, jedynie pielęgnowana wiedza, otwierała im bujne pole do olbrzymich i podziwienia godnych pomysłów, których właściwym celem było głównie zapatrywanie się religijne ku czci i uwielbieniu Stwórcy. Nierównie więcej wymaga atoli oświata czasów naszych. Fantastyczne obrazy skreślone na tle ciemnej przeszłości, znikać muszą w jaskrawym świetle ciągle jeszcze potęgujących się nauk, a zasady rozgłaszane po dziśdzień nie śmią stawać w sprzeczności z doświadczonymi prawami przyrody.

Odnośnie do względu drugiego, dotyczącego ksiąg świętych, należy rozważyć, iż literalne pojęcie zdań, bez pochwycenia myśli właściwej, w każdym razie sprowadzić musi na bezdroża, które nie mniej tamują postęp nauki samej, jak ubliżają powadze treści i godności zamiaru. Kto się wszakże zastanawiał nad celem, dla którego księgi święte skreślone zostały, kto uznał, iż Mojżesz układając dzieje stworzenia ziemi naszej — nie mógł się zapuszczać w rozprawy naukowe, lecz by się stał zrozumiałym dla narodu w pierwotnej prostocie ducha pozostającego, chciał tylko stosunek człowieka do wszechstworzenia, a tegoż do Stwórcy wyświecić; kto pojął, iż najważniejszem dążeniem proroka było wykazać najwyższą mądrość, dobrotliwość i wszechmocność jednego Boga, ten bezwzględnie przyznać musi, iż teorja gieologji najnowszych czasów, jakkolwiek pozornie sprzeczna w pewnych względach z szczegółową treścią rzeczonych ksiąg, w zasadzie swej bynajmniej nie sprzeciwia się ich religijnemu znaczeniu, ale podnosi tak święty zamiar — okazania wielkości Stwórcy.

Nie wchodząc w rozbiór chociażby ważniejszych teorji, jakie dawnymi czasy o powstaniu i przeobrażaniu się ziemi obmyślono, ograniczę się tylko na jednej, która z końcem zeszłego stulecia przez wielkiego filozofa L a p l a c e pod nazwą: »hipotezy obłoczkowej» ogłoszoną została. Teorja ta zasługuje na tem większe uznanie, gdyż nie ograniczając się jedynie na historycznym rozwoju planety, wykazuje najdokładniej stosunki zawisłości jego od słońca i innych planet, udowadnia konieczność tychże stosunków na zasadach matematyki, nie sprzeciwia się żadnemu prawu w przyrodzie istniejącemu i dosięga w doświadczeniach astronomicznych najwyższego szczytu możliwego prawdopodobieństwa.

Zdaniem Laplaca cały zasób składników nietylko ziemi naszej, ale także słońca i wszystkich około niego krążących ciał niebieskich, jako mięszanina czystych pierwiastków zaraz w chwili stworzenia rzucony został w przestrzeń wszechświata, gdzie z powodu nader mocnego ogrzania utrzymany w stanie lotnej pary, działaniem sił fizycznych przybrał formę, która najmniejszą przestrzeń zajmuje, a taką jest kształt kulisty. Kula ta rozpięła się wszakże w rozmiary olbrzymie, sięgać bowiem musiała swą objętością daleko poza strefy obiegowe najodleglejszego od słońca planety, przyczem udzielony jej został ruch krążący około osi kierunkiem od zachodu na wschód.

Nie wszystkie jednakże cząstki na powierzchni tak ogromnego globu z równą chyżością brały udział w rzeczonym obiegu; gdy bowiem sfera równikowa pospieszała najprędzej, części bardziej do biegunów zbliżone okrążały leniwszym pędem obrotową linję osi, zkąd też prężność odśrodkowa na objętości równika wywołała spłaszczenie całej tej obłoczkowej kuli. Siły ogólnego ciążenia, rozbudzone w tworzywie lotnem, a więc wielką ruchliwością cząstek obdarzonem, gromadziły cięższe składniki ku środkowi, skupiając je tam w gęstszą masę, aniżeli to w miejscach dalej na zewnątrz położonych dziać się mogło, przez co nastąpiło nietylko ciągłe zmniejszanie się gazowego kłębu, ale także przyspieszanie ruchu obrotowego i zkąd potęgowanie dążności odśrodkowej. Cząstki więc, zajmujące równikowy obwód spłaszczonego globu, nie mogą dłużej ruchem swym wyrównać zbyt spiesznemu wirowaniu całej masy, oddzielają się przeto od niej w kształcie ogromnego p i e r ś c i e n i a, któren około zmniejszonego już kłębu centralnego krąży z szybkością, jaką w chwili odłączenia się swego posiadał.

Najmniejsza atoli nierówność w złożeniu rzeczonej obrączki jest dostatecznym powodem do rozerwania i zlania się jej w nową kulę. Ponieważ wszakże zewnętrzna objętość owego pierścienia większą pospieszała chyżością niżeli strona wewnętrzna, dlatego podczas wspomnionego zlewania się cząstki zewnątrz położone wyprzedzając wszystkie inne, wywołały obok krążenia nowo utworzonego kłębu w pierwotnem kole także i wirowanie jego około własnej osi. Tak tedy p o w s t a ł p i e r w s z y p ł a n e t a, a zjawiska, któreśmy dopiero na wielkiej całości poznali, powtarzają się zarówno na odłączonej części gazu; ta bowiem przybiera także kształt kuli spłaszczonej, oddziela podobnie z własnego zasobu składników pierścienie, tworzy z nich globy pomniejsze, i daje powód do powstania s a t e l i t ó w czyli k s i ę ż y c ó w.

Alež i kula środkowa nie przestaje powtarzać objawów dopiero co skreślonych. Nowe pierścienie odłączają się, nowe

planety ożywiają ruchy swymi przestrzenie wszechświata — aż oto i kłąb dla utworzenia ziemi przeznaczony występuje z kolei w systemie słonecznym, wydzielają się jeszcze inne globy planetarne, słońce zakreśla własną swoją objętość, staje niby przewodniczące pośród ciał któremi się otoczyło, i wielki ustęp w budowie układu wszechświata dobiega kresu swego.

Bardzo wiele znakomitych i dotąd niczem niezbitych dowodów staje w obronie prawdziwości tych twierdzeń, odczytanych bystrością ducha ludzkiego z księgi stworzenia, którą nam natura sama tak jasno i przekonująco skreśliła. Oto krążenie wszystkich planet w jednakowej prawie płaszczyźnie, tem większa objętość i masa, lecz tem mniejsza zbitość tych ciał, im bardziej od słońca są oddalone; w stosunku tegoż oddalenia wzmagająca się ilość ich księżyców; kształt spłaszczono kulisty, a co więcej, pierścień otaczający planetę Saturma, któren stężał nim rozerwanie się jego nastąpiło; byłyby już dostatecznymi dowodami powyż streszczonej teorji, chociażby nieśmiertelny badacz tajników wszechświata Herschel nie był w obłoczkowych gwiazdach wyśledził światy, przechodzące dla siebie właśnie te ustępy rozwoju i przeobrażania się, któreśmy dopiero w nauce o powstaniu naszego systemu słonecznego poznali.

Tak więc przypuszczeniem istnienia oddzielonego kłębu obłoczkowego wszelki materjał do utworzenia się ziemi jest dany, i ogólnym prawom fizycznym i chemicznym poruczone zostały dalsze zmiany od czasu wyłączenia się tej mgły, przez wszystkie stopnie przechodowe, aż do wykończenia, jakie obecnie w składzie planety naszego dostrzegamy.

Pierwszem działaniem sił fizycznych było powolne chłodnienie całej masy, ztąd nieustanne ściąganie się jej a w skutek tego zbliżanie ulotnionych pierwiastków nawzajem ku sobie. Wtedy to rozbudziła się owa ogromna czynność chemizmu, wywołana siłą większego lub mniejszego powinowactwa różnorodnych ciał, wtedy począł się odbywać ten niezmierny proces spalenia, któren palne pierwiastki złączył z kwasorodem i którego utwory jeszcze po dziś dzień we wszystkich rodzajach ziem i skał tak samo jak w wodzie i powietrzu znajdujemy, podczas gdy mała tylko ilość składników pierwotnych, niedoznając dość silnego przyciągania od kwasorodu, połączyła się z innymi ciałami, lub została nadal w stanie upierwotnienia. Wszelkie czynności chemiczne wywiązują wszakże ciepło, a to tym wyższego stopnia, im raźniej się działania takie odbywają. Z tąd pochodzi własne rozgrzanie się mięszaniny kwasu siarkowego z wodą, tak powstaje ogromne gorąco podczas łączenia się wodorodu z kwasorodem w wodę, gorąco, które w jednej chwili nietylko stopić, ale nawet ulotnić jest w stanie ciała, obojętne dla temperatury roztlonych pieców hutniczych, n. p. platynę. Otóż i podczas tych działań chemicznych musiało się wzniecić gorąco, które było więcej, niż dostatecznem, aby powstałe złączenia częścią stopiło, częścią zaś w stan rozprężalny wprawiło. Roztopione a nie lotne połączenia zlały się w postać kuli tlącej, ulotnione zaś otoczyły takową jako gorąca atmosfera. Tem wydzielaniem różnorodnych mas kończy się pierwszy okres dziejów ziemi naszej.

(D. c. n.)

Odczyt prof. Dr. Majera,

miany na korzyść ubogich uczniów Akademji technicznej we Lwowie dnia 16. lutego b. r.

O trwaniu życia ludzkiego.

(Według własnoręcznego opracowania p. Dr. Majera.)

(Dokończenie.)

Mikołaj Radziwiłł nie używając innego napoju prócz wody, umarł w roku życia setnym, syn jego dożył lat 99. Jakób ze Skotnik arcybiskup gnieźnieński przeszedł lat 100. Katarzyna Odrowążówna panna, miała umrzeć w 120tym roku życia. Anna Toppelówna zakonnica, dopiero w roku 130tym. Feliks z Sreńska wojewoda płocki położył nagrobek swemu dziadowi po ojcu, który miał żyć lat 140. O niejakim Wiśniewskim w księztwie oświecimskiem piszą, że mając lat 140 pieszo bywał w odległym kościele, zaś Ossowski z Jabłonny w województwie lubelskiem mając lat 115 gryzł jeszcze orzechy i dosiadał konia. Pradziad historyka Hartknocha żył z żoną lat 100 a umarł mając lat 130, miał więc zapewne jedyną w świecie sposobność odprawienia dwukrotnie złotego wesela. Wieśniak jeden z województwa wołyńskiego, mając lat 115, wspinał się ze zdumieniem patrzących na wysokie drzewa. Za czasów Jana Kazimierza miał być we wsi Zapałowie w województwie ruskiem mieszkaniec, który doszedł aż do 180 lat, o czem wszelako już sam Rzączyński powątpiewa. i t. d.

Z czasów późniejszych czytamy, że pomiędzy starcami, którym przy obrządku wielkoczwartkowym obmywał nogi król Stanisław August w r. 1793, najstarszy Jan Zakrzewski miał wtedy lat 130, za młodu był z Janem Sobieskim pod Wiedniem i tam został ranny. Przykłady takiego przeszło stuletniego życia do dziś dnia trafiają się dość często. W samym Krakowie między 42 000 zmarłych od r. 1828 do 1847, znalazło się 22ch mających od 100 do 115 lat. W grudniu r. 1864 odbył się tamże pogrzeb Piotra Sękowskiego, niegdyś oficera wojsk polskich, który liczył lat 104. W całej Galicji na 166,165 zmarłych w r. 1862, było 9 mężczyzn i tyleż kobiet starszych od 100 lat. We Lwowie umarł w Grudniu 1858 r. Samuel Stefanowicz arcybiskup obrządku ormiańskiego mając lat 106 i 8 miesięcy. W lutym r. 1863 zmarł znowu Franciszek Zaręba żołnierz z czasu Kościuszki, licząc 112 lat życia. W tymże roku i miesiącu jak doniosły dzienniki, zmarła w Szymborzu pod Jarosławiem p. Michalska w 123 roku życia, pracowita staruszka która w ostatnich jeszcze latach chodziła do Płonkowa na mszę o pół mili.

Jeżeli obejrzymy się po za krańce cywilizacji, znajdziemy i między ludami dzikiemi przykłady bardzo podeszłej starości o wiele przechodzącej trwanie życia zwyczajnego. Vespuccemu zdarzało się natrafiać między Indjanami amerykańskiemi praprawnuków obok prapradziadów. Według Lorego krajowcy brazylijscy dochodzą 100 do 120 lat. Między Malajami na Przylądku Dobrej nadziei Lichtenstein widział przykłady życia do 107 i 120 lat. Również między krajowcami wysp Filipińskich wielu znajdywano 100 letnich. Na wyspie Śgo Tomasza dochodzą Negrzy do 110 i więcej lat. Z wykazów sporządzonych w Stanach zjednoczonych Ameryki w r. 1850 widać, że między Negrami dochodził do 100 lat 1 na 2143; daleko jeszcze korzystniej, bo jak 1:900 wypadałby ten stosunek na wyspie Kubie. Naostatek i z pomiędzy Hotentotów, Modie wspomina o takim, który jak się pokazywało z jego wspomnień, musiał mieć przynajmniej 150 lat.

Z tego się pokazuje, że pod względem długowieczności nie ma szczególnej różnicy i między różnemi rasami. Jeźli więc czasem słyszeć nam się daje o spiesznym chyleniu się ludów dzikich do zupełnej zagłady, to faktu wprawdzie nie przeczymy, nie możemy jednak uważać go za skutek jakiegoś wrodzonego braku żywotności, lecz za następstwo zgubnego wpływu samolubnych cywilizatorów, którzy wypierając dzikich sąsiadów z ich pierwotnych siedzib, odejmują im coraz więcej środków wyżywienia, bez których niepodobna pomyśleć o trwałości życia. Wszakże i w krajach cywilizowanych im większa nędza, tem większa śmiertelność a następnie krótsze średnie trwanie życia.

4. Długość życia prawidłowa. W tem co poprzedziło mamy już pewny dowód, że życie człowieka może się przedłużyć do półtora wieku, a że prócz tego życie 100 lat przechodzące, jak uczą powyższe przykłady, stosunkowo dość często się zdarza; więc też wiek taki nie musi być za granicą trwania, z góry dla życia człowieka wskazanego. Owo to trwanie uzasadnione na fizycznej i moralnej istocie człowieka i tym sposobem z góry w szeregu stworzeń przeznaczone dla niego, nazywamy długością życia normalną czyli prawidłową.

Oznaczenie długości życia pod tym względem uważanej, daleko większe nasuwa trudności niż pod względami rozebranemi powyżej. Tam za podstawę służyły bądź statystyczne wykazy,

bądź historyczne zapiski; tu przeciwnie, należałoby wejrzeć w samą istotę życia, obliczyć zasób materji, miarę jej niszczenia przy dokonywaniu fizycznych i duchowych czynności, stosunek odtwarzania się w miarę rodzaju i ilości użytego pożywienia, ocenić zasady równowagi lub nadwyżki, jednego z tych czynników nad drugim, i tysiączne inne okoliczności, których nauka ledwie się domyśla, których jednak zbadanie nigdy podobno całkowicie dokonanem nie będzie.

W niemożności dokonania obliczeń na takiej ściśle umiejętnej podstawie, uciekzono się do porównawczych wywodów, opartych na stosunku dostrzeganym u zwierząt między trwaniem ich wzrostu a długością życia. Że w tej mierze zachodzi jakiś stały stosunek domyślał się tego już Arystoteles, późniejsi zaś badacze w wielu razach domysł ten stwierdzili. Oznaczenia jednak bardzo były chwiejne już z tego powodu, że nie posiadano pewnej miary na okres wzrastania, że przedewszystkiem nie rozróżniano dość ściśle przybytku na grubość od przyrastania na wysokość. Jeżeli zatem wniosek względem prawidłowej długości życia człowieka, miałby się opierać na wykazaniu pewnego stałego stosunku między czasem wzrostu i trwaniem życia u zwierząt, toć pierwszym byłoby warunkiem znaleść jakąś dokładną i spólną różnym gatunkom cechę, znamionującą stanowczo koniec wzrostu zwierzęcia.

Flourens, fizjolog francuski sądził, że znalazł taką cechę w stanie związku kości z ich przyrostkami (epiphyses.) Przyrostki te, owe główki będące po końcach kości długich, początkowo oddzielone są chrząstką od właściwej kości; z czasem chrząstka ta kostnieje, a odtąd przyrostki jednostajnie spływają się z kością. Dopóki przyrostki nie są zjednoczone z kością, dopóty zwierzę rośnie; skoro to nastąpi, zwierzę róść przestaje na długość. Flourens utrzymuje, że cecha ta jest stałą i że w tym samym gatunku zwierzęcia, zjawia się zawsze w tym samym życia okresie.

To widząc, łatwoby było oznaczyć stosunek między kresem ukończonego wzrostu a trwaniem całego życia. Tak n. p. zjednoczenie kości z przyrostkami kończy się u wielbłąda w roku 8mym, u konia w 5tym, u wołu i lwa w 4tym, u psa w 2gim, u kota w $1\frac{1}{2}$; skoro zaś wielbłąd żyje lat 40, koń 25, wół i lew od 15 do 20tu, pies 10 do 12tu, kot 9 do 10ciu, widocznie zatem u tych zwierząt życie trwa mniej więcej 5 razy dłużej, niż okres ich wzrostu.

Gdybyśmy zatem według tej samej miary cenili długość życia człowieka, należałoby tylko wiedzieć kiedy u niego jednoczą się kości z przyrostkami; ten bowiem przeciąg czasu rozmnożony przez 5, byłby szukanem życiem prawidłowem. Atoli nadmienione kostnienie przyrostków dzieje się u człowieka około roku 20go, tem samem więc trwanie życia prawidłowe, byłoby 5 razy dłuższe, t. j. lat 100.

Że taka długość życia nie przechodzi granicy możności, przekonywają o tem dostatecznie przykłady wyżej przytoczone.

Wszakże zważając na te same przykłady, słusznie powątpiewaćby przychodziło, czy sto lat życia stanowi już rzeczywiście jego ostateczny, prawidłowy termin. Wszak nawet śmierć owego Tom. Parrego zmarłego w 152 roku, nie miała być jeszcze naturalną, ale przypadkową! A cóż powiedzieć o tylu innych, zmarłych między 100nym a 150tym rokiem? Nie ma zatem wątpliwości, że człowiek może dożyć lat 100, ale jest pytanie, czyby nie mógł i niepowinien żyć dłużej?

Jakoż i wywód Flourensa, na pozór bardzo przekonywający stanowczo jeszcze rzeczy nie rozstrzyga, nie ma w nim bowiem jeszcze tej pewności, jakiej wymaga ścisłe naukowe badanie. Warunkiem tej pewności byćby musiała przedewszystkiem wielość szczegółowych spostrzeżeń, na których opiera się wniosek wyprowadzony co do życia człowieka; następnie zaś należałoby wykazać, że stosunek między okresem wzrostu a trwaniem życia w ogólności, znaleziony u kilku zwierząt wyżej nadmienionych, jest takim samym w różnych rodzajach i gatunkach.

Wszakże w ogóle uważając, liczba przypadków na których Flourens opiera śmiałe zastosowanie do człowieka, jest jeszcze bardzo mała, tak, że choćby tu chodziło o jeden i ten sam rodzaj zwierzęcia, to jeszcze i w tym razie nie możnaby z pewnością rozciągać do całego rodzaju spostrzeżeń, uczynionych ledwie na kilku należących do niego gatunkach. A cóż dopiero powiedzieć w drugim względzie t. j. z uwagi na to, że człowiek o którego rzecz idzie, jest wcale innym rodzajem, niż owe zwierzęta, na których poczynione spostrzeżenia do niego zastosowane zostały.

Że zasada Flourensa byłaby zupełnie mylną, gdyby się rozciągać miała do wszelkich gromad zwierząt, jestto rzeczą oczywistą. Wszak nie tylko u większej części zwierząt bezkręgowych, życie trwa bardzo krótko po skończonym wzroście, ale ten sam przypadek zachodzi i u niektórych pośledniejszych kręgowców, np. u ryb. Zachodzi jednak pytanie, czy przynajmniej w tej samej gromadzie, do której należy człowiek t. j. u zwierząt ssących, do których rzeczywiście Flourens ogranicza ustanowione przez siebie prawidło, rzecz wszędzie ma się jednako? Gdyby się bowiem pokazało, że stosunek między trwaniem wzrostu a długością życia wykazany u niektórych, innym jest u innych zwierząt tej samej gromady, to według któregoż oceniaćby się musiała długość życia człowieka?

A przecież zdaje się, że właśnie taki zachodzi przypadek. I tak, jeżeli jak się pokazało, nadmieniony stosunek u wielbłąda, konia, wołu, lwa, psa i kota jest 5, to według spostrzeżeń samego Flourensa, byłby on już inny u królika i u świnki morskiej. Jakoż u królika żyjącego lat 8, przyrostki jednoczą się z kością w roku 1ym, u świnki morskiej żyjącej 6 do 7 lat, następuje to w 7 miesiącu. Tym więc sposobem nadmieniony stosunek wynosiłby u królika nie 5 ale 8, u świnki morskiej nawet przeszło 10. Ileż więc ma wynosić u człowieka? inaczej mówiąc: ileż razy prawidłowe życie człowieka jest dłuższe od wieku, w którym jednoczą się u niego kości z przyrostkami?

Otóż na to pytanie teorja Flourensa nie daje nam jeszcze odpowiedzi. Z uwagi, że im klasa zwierząt wyżej stoi w organizacji, tem więcej życie gatunków do niej należących przedłuża się w porównaniu z okresem ich wzrostu; przypuścićby można, że to samo prawidło rozciąga się nietylko do klas, ale i do ich poddziałów, t. j. że z pomiędzy zwierząt jednej i tej samej klasy, te znowu żyją dłużej w porównaniu z czasem trwania wzrostu, które należą do wyższego wzoru rodzajowego. W obec tego przypuszczenia, wskazane wyżej stosunki 5, 8, 10, zgadzałyby się rzeczywiście z podziałem zwierząt naturalnym, który Milne Edwards uzasadnił na poszukiwaniach cech rodzajowych. Według niego zwierzęta przeżuwające (wielbłąd, wół) i jednokopytowe (koń), tudzież drapieżne (lew, pies, kot) którym odpowiada stosunek 5, należą do wzoru odmiennego niż gryzące (królik, świnka morska), wchodzące do gromady w której obok nich znajdują się małpy i fizycznie najbliższy ich człowiek. Możnaby zatem przypuścić, że cyfrą wskazującą u człowieka stosunek między długością życia a okresem wzrostu nie jest 5, ale przynajmniej taka, jak największa u gryzących, t. j. 10. Według tego życie człowieka prawidłowe wynosićby musiało lat 200. Rzeczywiście tak długie życie przyznawał mu Hufeland, jednakże na zasadzie przypuszczeń, w których nauka nie może widzieć należytej ścisłości, bo na zasadzie nie usprawiedliwionego mniemania, że każde zwierzę żyje 8 razy dłużej niż potrzebuje do swojego wzrostu, i że człowiek rośnie lat 25.

Chociaż wszelako i nasz poprzedni wywód prowadzi do tego samego wypadku, to jeszcze przecież za pewny podawać go nie możemy, a to tak na zasadzie doświadczenia jak i teorji.

Doświadczenie bowiem, mimo licznych przykładów długowieczności, nie wskazuje nam żadnego przypadku, w którymby życie z pewnością do 200 lat przeciągnąć się miało, mówię z pewnością, niepewne bowiem, fantazyjne podania, w rachunek wchodzić tu nie mogą.

Co do teorji; należałoby wiedzieć, czyli przypadkiem wpływu, jaki na długość życia wywiera cecha rodzajowa i udoskonalenie organiczne, nie stłumia wpływ innej jakiej przyczyny, której skutki pod tym względem nie są jeszcze poznane, jak n. p. wielkość ciała, lub sposób życia.

*

Porównywając człowieka ze zwierzętami, nigdy nie należy spuszczać z uwagi, że jest w nim coś więcej niż w każdem zwierzęciu; jest on istotą rozumną i moralną, zkąd wynikają czynności zużywające i osłabiające nieustannie sprężyny machiny organicznej, tem samem wewnętrzne warunki bytu, od czego wolne są zwierzęta. Bardzoby zatem być mogło, że gdyby nie wrodzone usposobienie, będące w związku z wyższością wzoru organicznego, to właściwe człowiekowi zdolności duchowe, stanowiące jego siłę i wielkość, skróciłyby jego życie w stosunku do wzrostu więcej niż to widzimy u zwierząt. Zachodzi więc u niego pewien rodzaj wynagradzania, zrównywania się działaczy na długość życia wpływających, mocą którego ani jest ono tak długiem, jakim byćby powinno stosownie do organicznego stanowiska między zwierzętami, ani też tak krótkiem, jakim byćby mogło, gdyby bez tego uzdolnienia do długowieczności narażonem było na wpływ podkopujących je, a człowiekowi tylko właściwych działaczy psychicznych.

To wszystko oceniwszy, najmniej podobno miniemy się z prawdą, jeżeli za kres życia prawidłowego, przyznamy człowiekowi lat 150; wiek bowiem taki, teoretycznie prawdopodobny na zasadzie powyższego wywodu, praktycznie znajduje też potwierdzenie, w przykładach, których prawdziwości naukowa krytyka nic zarzucić nie może.

Doszedłszy do tego wypadku, lepiej podobno zakończyć nie mogę, jak szczerem życzeniem, ażeby jak najrychlej to, co tu wykazano w zasadzie, potwierdziło się w rzeczywistości. Że średnie trwanie życia dziś zdaje się być dłuższem aniżeli dawniej, wyżej się mówiło; możnaby się więc spodziewać, że przy zaoszczędzeniu życia w powszechności, częstszemi też być mogą przypadki zbliżenia się do kresu za prawidłowy uznanego. Im więcej z jednej strony polepszać się będą stosunki społeczne, im więcej z drugiej strony doskonalić się będzie nauka lekarska, a nadewszystko na fizjologji oparta hygiena; tem pewniej do tego kresu zbliżać się będziemy, tem częstsze będą przypadki śmierci wynikłej nie z owej przedwczesnej, ale z prawdziwej starości. Nauka więcej uczynić nie potrafi. Już dziś nie ma o tem mowy, ażeby w ciele zużytem wywołać życie zbliżając je do dziecięcia, jak to radzili Galen, Paweł Egineta a nawet znakomity Boerhaave, lub krew przez nich zubożoną odnowić podstawieniem krwi młodszej. Cóż się stało z panaceą Paracelsa, eliksyrem Cagliostra i wszelkiemi kwintesencjami długiego życia? Doświadczenie dawno już wydało wyrok o tych wszystkich środkach chimerycznych, zbawienniejszych dla kieszeni wynalazców, niż dla życia tych, którzy ich używali. Nauka nie posunie się nigdy za granice praw przyrody, a byłoby bardzo wiele, gdyby zdołała zabezpieczyć je każdemu. Miejmy nadzieję, że kiedyś uczynić to potrafi, tymczasem zaś korzystajmy z życia, którego końca przewidzieć jeszcze nie możemy, starając się wypełnić je czynami ku chwale Boga i pożytkowi kraju, dla którego żyć i pracować jest i być powinno pierwszym naszym obowiązkiem!

Tajemniczy druh.

Obrazek z niedalekiej przeszłości.

„Miłość nie przestanie być nigdy najpotężniejszą dźwignią do uszlachetnienia dusz upadłych... Zwierzę gdyby mogło z głęboką miłością zapatrzyć się w anioła — stałoby się człowiekiem...“ *K. Ujejski.*

— Panno!... *hołubko* moja złota!... gdybyście wiedzieli, jaki ogień straszny zapaliliście w biednem sercu moskiewskiego *mużyka*, gdybyście chcieli posłuchać...

— Ależ panie... proszę przestać... inaczej będę zmuszona wyjść...

— Panno!... panno Marjo!... miejcie litość... jedno słówko tylko!... tak mówił mężczyzna około trzydziestu lat mający, przybrany w ciemnozielony mundur moskiewskiego oficera, i jedną nogą przyklęknąwszy, trzymał w konwulsyjnie ściśniętych dłoniach wydzierające się ręce zmieszanego dziewczęcia.

— Pan się zapominasz... proszę wierzyć, że ja go szanuję i poważam, ale innego uczucia żywić dlań nie mogę...

Oficer bladł i czerwieniał na przemian; jakieś okropne uczucia miotały duszą jego i wyciskały przerażające piętno na bielejącej jak śnieg twarzy.

Działo się to w jednej z niewielkich komnatek drewnianego wiejskiego dworku, w wiosce położonej nad Wisłą w Sandomierskiem, krwawej pamięci roku 1863. Dworek ów zamieszkiwała zacna polska rodzina, znana z poświęceń, zasług i pracy około dobra narodowego. Dwoje staruszków jak gołębie bialuteńkich widziałeś co dnia rano na małym słomą pokrytym ganku. Pan Michał skoro świt wstawał i szedł w aleje lipowe cienistego sadu na ranne pacierze. Staruszka zaglądała do piekarni, dreptała od kuchni do piwnicy, od piwnicy do spiżarni, a głos jej dźwięczny jeszcze i czysty rozlegał się głośno po zagrodzie. Z kluczykami za pasem biegała raźno żwawa pomocnica matki Marja. O ósmej wracał pan Michał z lip z fajeczką w ręku pod ganek, gdzie go już śliczna faworytka i biała staruszka na ›dzień dobry‹ oczekiwały. Marja miała dwoch braci, jeden z początkiem powstania wzięty na Sybir, jęczał już gdzieś biedny w głębokiej Azji, drugi walczył w szeregach bratnich na czele dzielnego oddziałku konnego. Toż niedaremnie zacny pan Michał co dnia od białego świtu do ósmej lub dziewiątej z rana przebywał na modlitwie w cienistych alejach lipowych. Modlił się o pomyślność oręża dziatwy polskiej, za nieszczęśliwego na Sybirze syna i drugiego walczącego przeciw wrogowi, jak on niegdyś przed trzydziestu laty.

Z obudzeniem się rewolucyjnych ruchów w tamtych stronach, w wiosce pana Michała stali kozacy porucznika Astrachanowa. Astrachanow mieszkał we dworze. Byłto dziwny bardzo na pozór człowiek, stepowiec, wykarmiony dumami i dumkami rodzinnej ziemi swojej, od dziecka jak koń stepowy przywykły do wolności, do swobodnego bujania po przestronnej ziemi, któremu nałożono jarzmo na szyję, zakazano myśleć, mówić i chodzić inaczej jak podług carskiego *prykazu*. Serce w gruncie prawe, popędy szlachetne, chociaż przygniecione niewolniczą służbą nie skrewiły się jednak w zarodzie; myśl okuwana w więzy carskiego despotyzmu, naginana do nieograniczonego posłuszeństwa, rwała się ciągle w rodzinne stepy, do wolności... Toż walka ta wrodzonej szlachetności, opartej na naturalnym popędzie człowieka do wolności jeżeli nie fizycznej, toć przecie moralnej, wyrobiła w nim charakter tajemniczy, skryty, posępny. Astrachanów był na pozór despotyczny, odrażający, traktował swoich żołnierzy podług *prykazu* surowo i ostro, z kolegami zupełnie nie żył, za co go nie lubiano, chociaż nikt mu nic nie śmiał zarzucić.

Kiedy przybył do wioski pana Michała, stroniono od niego jak od zapowietrzonego. Astrachanów był milczący i ponury jak zawsze, we dworze miał osobny pokój, zkąd nigdy prawie do pokojów gospodarstwa nie wychodził i nie chciał robić znajomości. Dopiero pewne zdarzenie przez pana Michała odkryte zbliżyło serca Moskala i polskiego szlachcica do siebie. Pewnej nocy przybyło do wioski p. Michała kilku zbłąkanych powstańców, którzy do żadnego oddziału w okolicy dobić się nie mogli. Szczęśliwie przedarłszy się przez rozespane straże kozackie we wsi, zziębli i zgłodniali zapukali do okien dworku. Przestraszony staruszek wybiega z sypialnej komnaty, spodziewając się smutnych skutków, gdy tymczasem trzej przybyli znajdowali się już w pokoju moskiewskiego oficera. Przerażony p. Michał przyskoczył do drzwi, przyklęknął i słuchał.

Oddech ciężki i urywany dusił mu piersi, po chwili znać było jak złożył ręce jakby do modlitwy i szepcząc jakieś niewyraźne słowa wrócił do sypialni. Na dworze było ciemno. W chwili gdy p. Michał wszedł do swego pokoju, w komnatce Astrachanowa zabłysło światło i po chwili zgasło...

W ciemnej gęszczy ogrodowej, od strony przytykającej do pokoju oficera zaszeleściało coś jakby odgłos przytłumionych kroków i ucichło...

Na drugi dzień dziwne rzeczy działy się w dworku pana Michała.

Ledwie zarumieniło się niebo pierwszym blaskiem jutrzenki, a już pan Michał przechadzał się po alejach lipowych i odmawiał modlitwy z dziwnem jakiemś namaszczeniem i uroczystością rozlaną po całej twarzy. W kilka godzin potem poszedł do pokoju Astrachanowa, a zastawszy go już ubranego zamknął za sobą drzwi na klucz i z tajemniczym wyrazem na twarzy, przystąpił do zdziwionego i cokolwiek nawet zmieszanego oficera.

— Panie poruczniku!... rzekł głosem drżącym trochę ale serdecznym i szczerym, tak, jak gdyby po wielu latach niewidzenia się witał przyjaciela od serca, i wyciągnął ręce do uścisku.

— Panie poruczniku! powtórzył jeszcze serdeczniej, a w oczach zabłyszczały mu dwie piękne, jasne łzy i potoczyły się po zmarszczonej twarzy!...

Astrachanów mieszał się coraz bardziej, twarz zwykle surowa i posępna, ściągnęła się teraz do wyrazu cierpkiego jakiegoś niezadowolenia. Tarł ręką gorączkowo po czole, a na lica występywał mu zwolna rumieniec.

Tymczasem p. Michał pochwycił rękę jego w obie dłonie i cisnąc ją serdecznie, szepnął:

— Wiem o wszystkiem, co się tej nocy w waszej izbie działo.. poruczniku!... nie kryjcie się przed nami... Bóg widział wasz szlachetny uczynek!...

— Ale... prawdziwie... jąkał się coraz bardziej mieszający się Moskal i ściągał brwi do tak ponurego i surowego wyrazu, jakby wyrok *piať sot pałok* przed frontem miał wydać.

— Dziś w nocy byli u was powstańcy... wyście każdemu dali po sto rubli na drogę i puściwszy przez okno na ogród wskazaliście drogę, którędy najłatwiej mogliby się wymknąć przed kozackiemi strażami....

Porucznik popatrzył na pana Michała wzrokiem takim, jakby go chciał przejrzeć do dna duszy. Twarz miał dziwnie bladą a oczy gorączkowo świecące.

Po chwili p. Michał był już w objęciach Astrachanowa i ściskał go tak szczerze jak rodzonego brata.

Moskal miał łzy w oczach i szeptał:

— Tylko sza!... cicho!... taż i jam się urodził w swobodzie i wiem co to ojczyzna, wolność i rodzina!.. Wszak i jam bujał sobie po naszym zielonym stepie, dopokąd mi mundurem nie związano swobodnej piersi...

— Teraz mam za to *epolety* oficerskie... dodał z gorzkim uśmiechem, carska wola, boża wola...

Od tej chwili zaprzyjaźnił się z domem p. Michała i ciągle prawie przesiadywał u nich. W obec innych był jak dawniej surowym, groźnym i nieprzystępnym.

Marja grywała często na fortepianie; szczególnie dumy, dumki, szumki i pieśni Zaporożców grała prześlicznie. Astrachanów nadzwyczaj lubił muzykę, a choć sam nie grał na żadnym instrumencie, za to spiewał tysiące pieśni stepowych od rodzinnych stron, które zapamiętał jeszcze z dziecięcego wieku. Gra Marji nadzwyczaj mu się podobała, więc przesiadywał nieraz godzinami przy fortepianie, słuchał i dumał...

Minęło parę miesięcy, Astrachanów nie myślał o wymarszu z swoim oddziałem z wioski państwa Michałów, gdy w okolicy zbierali się powstańcy, i wkrótce już miano oznaczyć punkt zborny i dzień wybuchu. Astrachanów sposępniał od niejakiego czasu widoczniej, zamykał się często w swoim pokoju samotny, przy Marji był zawsze dziwnie zmieszany i jakby w gorączce, a kiedy słuchał, gdy mu grała ulubione dumki i szumki stepowe, zdawało się, że zapominał o sobie popadając w zadumkę i marzenia...

Biedny Moskal!...

Był wieczór, na kominie tlała kłoda i czerwony blask niecił w komnatce, gdy Marja siedziała przy fortepianie i grała wyspiewaną jej przez Astrachanowa jakąś dumkę od stepu, a on siedząc na kozetce ukrył głowę w dłonie i dumał. W takim stanie zastawano go często samotnego w swoim pokoju. Dumka była prześliczna. Stary lirnik, *zawołoka,* w dalekiej obcej stronie nucił coś sobie biedaczysko o rodzinnym stepie, o sinych porohach Dniepru, o zielonych burzanach stepowych, w których niegdyś za młodu niejedną noc przeleżał swobodny i wesół, strzegąc koni, słuchał szumu i rozhoworów oczeretu z nad rzeki, patrzał w niebo, co mrugało do niego złotemi gwiazdami i dumał sobie o krasnej dońce, co go na niedalekim futorku z białym świtem czekała. Więc na smutną nutę spiewał sobie stary *projdyświt*, bo w dali od swoich stare kości na cudzej przyszło mu złożyć ziemi. Tak siedząc i nucąc pod spróchniałym krzyżem na rozstajnej drodze zasnął. I kiedy siwiuteńką głowę na zielonej złożył murawie, zjawił mu się we śnie biały jakiś świetlany anioł i głosem, by szum burzanów na stepie, by pluskanie fal na Dnieprze, rzekł: »Nie masz już twojej dawnej ojcowizny, nie ma dawnej swobody i wolności!... Dońka w mogile, bracia w sałdatach, tylko burzany na stepie żałośnie szumią i mogiły świeże czernieją«... Tak mówił anioł i zniknął. Stary lirnik jak zasnął, tak się już i nie zbudził. Wicher polny igrał sobie z białymi włosami stepowego zawołoki, a krzyż spróchniały skrzypiał, jęczał i zawodził żałośnie...

Prześliczna nuta smutnej pieśni stepowej dziwnie rozmarzyła Astrachanowa. Ku końcowi ocknął się z zadumy zwróciwszy promienny i gorączkowy wzrok ku grającej Marji.

O takiej to chwili zaszła scena, którąśmy zaczęli nasze opowiadanie. Moskal na wpół klęcząc przed zmieszanem dziewczęciem szeptał już tylko niezrozumiałe wyrazy, gdy Marja rzekła:

— Kocham...

To słowo wypowiedziane z tym lubym niczem nieokreślonym urokiem dziewczęcego wstydu zelektryzowało go. Zerwał się, potarł ręką po czole i z dziwną bladością na twarzy szepnął takim głosem jakim zajęczy powalone o ziemię drzewo pod cięciami siekierników:

— Kochacie już... panno!... przebaczcie...

I z wyrazem dzikiej jakiejś cierpkości na twarzy dodał ciszej, jakby do siebie:

— Wszak ja Moskal!...

— Kocham... — powtórzyła jeszcze ciszej Marja i blednąc to czerwieniejąc się naprzemian popatrzyła na oficera oczyma, w których dwie śliczne, czyste i jasne jak perły zabłyszczały łzy.

Łzy te wypłynęły dla Moskala z serca, które kochało go jak ojca, jak brata, lecz inaczej kochać już nie mogło...

— Kocham powstańca!... Stanisława!... dokończyło dziewczę i skryło główkę w obie dłonie.

Astrachanów stał jak ściana blady i nieruchomy i szeptał niezrozumiale:

— Przebaczcie!... przebaczcie panno biednemu Moskalowi... Jam myślał, że wy będziecie mi w życiu krasnym aniołem z nad ojczystych moich stepów... jam sobie marzył, że wy mi zastąpicie ojca i matkę, których carskie posiepaki na Sybirze mi zamęczyli...

— Panie poruczniku! wyjęknęło z bolem dziewczę składając ręce jakby do modlitwy, a ciemne czarne oczy zaszły jej całkiem łzami.

— Przestańcie... *hołubko krasna!* przerwał jej łagodnym lecz drżącym i dziwnie gorączkowym głosem Astrachanów — niczego już od was nie żądam... Bądźcie szczęśliwi i...

Nieskończył. Gdy Marja otarła oczy, nikogo już w komnatce nie było... (C. d. n.

BÓG.

W dziecko wpoili wiarę w ciebie Boże,
W kościelne ramki wprawili mnie ładnie,
Włożyli na mnie obrządków obrożę,
Gdzie ksiądz, tam djabeł duszy nie ukradnie.

Nędzna ironja! Bydle gdy się wzmoże,
Ptak byle skrzydła, a uleci z gniazda —
Ludzkie rachuby! Zerwałem obroże
I przez przepaście poszła moja jazda.

Zgubiłem Boga i samego siebie,
I już mi żadna mądrość nic nie znaczy —
Lecz w boju, w znoju, w tryumfie, w rozpaczy

Jest kres — tam Boże odnalazłem ciebie;
I dumny, ludzkim żem się wyrwał sieciom,
Przed tobą znowu jam podobny dzieciom.

Styczeń 1865. *alf.*

ZAGADKA.

Pośród nawałnic przebojem szło życie —
Na ludzkich dążeń olbrzymie igrzyska,
Na bój, do kresu, dawałem obficie
Co tylko z ducha świętego wytryska.

Chodziłem w cieniu leśnym upojony,
Wśród skał i kwiatów piąłem się na góry,
Patrzałem w kształtów życia miljony,
Wśród woni, światła i grozy natury.

Wśród płodnych smutków i w ciszy więzienia,
Wszystko widome straciwszy za kratą,
Miałem sam w sobie kopalnię bogatą;

Jednak mi duszno — nic, tylko dążenia,
Jakiś sen ciężki czepia się mych powiek;
Kto żyw, odpowiedz mi: czemże jest człowiek?

Styczeń 1865. *alf.*

Żywot i pisma Karola Balińskiego.

II.

(Ciąg dalszy.)

Gdy więc takie przemiany i w teorji i w praktyce przeprowadzić trzeba, gdzież jest punkt wyjścia, gdzie dźwignia nowych wyobrażeń, gdzie siła co je ma w życie wprowadzić? Nigdy nie zużyte, nigdy nie wyczerpane, nigdy nie przestarzałe, wszędzie i zawsze zastosowalne zasady miłości chrześcijańskiej. Ich przeprowadzenie w praktyce jest zadaniem, od którego rozwiązania zależy szczęście ludzkości. Jak bowiem chrześcijaństwo w początkach zaraz swego istnienia wywalczyło niezależność, wolność i poszanowanie praw jednostce i ma swym ostatecznym rezultatem ogólną harmonję interesów dziś przez ekonomję polityczną podnoszoną, podobnie powtórne dzisiaj podjęcie i ożywienie chrześcijaństwa wyjedna dla narodu uznanie praw przynależnych, czego ostatnim wynikiem harmonja interesów narodowych. Osiągnięta ona zostanie przez niezawisłość i sprawiedliwe stosunków międzynarodowych urządzenie na zewnątrz (nie potrzeba więc wojen) i odpowiedni samorząd na wewnątrz (jednostka mająca swe prawa nie życzy ani sprawuje przewrotu) z czego oczywiście wypływa ogólny powszechny pokój i szczęście ludzkości — jedna owczarnia i jeden pasterz. Główną zaś prawdą na której opiera się cała statystyka i mechanika społeczna podług chrześcijaństwa jest *miłość*, *siła* wypadkowa z woli i uczucia złożona. W świecie ducha jest ona tem, czem w świecie materji jest atrakcja, *siła* przyciągania (nie grawitacja — *siła* ciążenia, jak ktoś ją mylnie nazwał, gdyż takowa jest tylko specjalnym wypadkiem *siły* wzajemnego przyciągania). Toć i w nowym porządku rzeczy wszystko na *miłości* się opierać, podług niej urządzonem być ma. Dzisiejsze stosunki społeczne urządzone są na podstawie uznania bezwzględnych praw jednostki. Ztąd równouprawnienie na papierze, w rzeczy samej zaś nierówność i ucisk słabych przez mocniejszych, czego aż nadto wielkim dowodem stosunki klasy robotniczej na Zachodzie i wypływające z nich poruszenia socjalistyczno-komunistyczne. Nie przyprowadzają one jednak do pożądanych skutków, gdyż się przeważnie na interesie oprzeć chcą. Wszelkie zaś wyłączne stanowiska są wadliwe. Jeżeli bowiem harmonja całej ludzkości przeprowadzoną być ma, toż oczywiście by wszelkie luki zapełnić, każdy pojedyńczy człowiek powinien być swej naturze odpowiednio rozwiniętym. Pomimo zaś wszystkich definicyj filozoficznych, określających człowieka jako *animal rationale* ma on jeszcze u c z u c i e. Dzisiejszy świat ucywilizowany uznaje w człowieku tylko pierwiastek rozumowy, zapoznając prawie całkowicie uczucie, to też wszystkie stosunki podług rozumu są urządzone: a że rozum na pierwszym planie stawia zawsze swoje ›ja‹, więc rozumy wszystkich ludzi każdy dla siebie swoje odrębne ›ja‹ stawiają, to też każde ›ja‹ swoją sferę jak najdalej chce rozszerzyć, choćby nawet na niekorzyść drugich jaźni, ztąd walka interesów, a oczywiście o pokoju i harmonji ludzkości ani mowy być nie może. Wszystkie zaś nadane i najlepsze nawet prawa nie na wiele się zdadzą, bo tu błąd nie leży w zewnętrznych stosunkach (sferze praw), ale w naturze pojedyńczych jaźni; na nie więc wpłynąć, je zmienić należy. Dokonać tego przeobrażenia ma miłość, zbliżając do siebie jednostki i wyrównywując powstałe między niemi nierówności *). Z tego zapatrywania wychodząc, chcą pisarze nasi potęgować uczucie (nie uczuciowość) nie, iżby chcieli upośledzać rozum to światło boże, ale pragnąc przywrócenia równowagi w duszy ludzkiej, chcieliby podnieść uczucie na ten stopień rozwoju, na jakim w dzisiejszym wieku znajduje się rozum. W ten sposób należy zrozumieć wszystko, co o stosunku rozumu do człowieka piszą. Szanują oni naukę, więc rozum, sami o jej nabycie się starają, a nawet nią celują**), tylko nie cierpią przewagi jednej siły umysłowej nad drugą.

Podejmując w ten sposób pracę około nowego odrodzenia ludzkości, mniemają wyżwymienieni pisarze, iż potrzeba niektóre zmartwiałe prawdy chrześcijaństwa odżywić, inne konsekwentnie rozwinąć, przytem też rozumieją oni niektóre prawdy inaczej, aniżeli je dotąd pojmowano. W wielu pojęciach swych zbliżają się to do ojca kościoła Origenesa i całej za nim idącej szkoły aleksandryjskiej, to do niektórych mistyków średniowiecznych, opierając się w tem na miejscu ewangielji, gdzie powiedziano, iż nie ma tajemnicy, któraby odkrytą być nie miała i na drugiem, że nie wszystko jest powiedzianem, ›bo wszystkiego znieść nie możecie‹. Wszystkie takie pojedyńcze odróżniające się pojęcia przytaczać nie mamy ani czasu ani miejsca, a o główniejszych pomówimy później przy szczegółowym rozbiorze pism Karolowych,

*) Prawdę, że miłość jest najsilniejszym istoty ludzkiej czynnikiem, wyjaśnia były profesor wileński J. Gołuchowski w „Badaniach nad wyższymi zagadnieniami człowieka“, dziele wydanym w r. 1859. Uważa on ją do tyla za podstawową siłę duszy i umysłu ludzkiego, że okazawszy mylność wszystkich dotychczasowych systematów filozoficznych od materjalnego panteizmu szkoły Jońskiej aż do idealno-subjektywnego panteizmu Hegla, odrzuca zdanie *cogito ergo sum*, będące kamieniem węgielnym wszelkich badań od Kartezjusza zacząwszy, a natomiast stawia jako wyjście dla swego systemu *amo ergo sum*. Że pochodnia ta jasne światło rzuca na nierozświecone dotąd tajniki Wszechistnienia, musi przyznać każdy, kto powyższe dzieło z uwagą przeczyta. Używam słowa W s z e c h i s t n i e n i e w miejscu bardziej używanego Wszechświata, bo chcę tem jednem wyrażeniem i Boga i materję i wszelką inną możliwą istność ogarnąć.

**) Tak samo napisanie Irydjona wymagało niepospolitych wiadomości i w istocie zaledwo który pisarz spółczesny w Europie z wyjątkiem specjalnych filologów mógłby się podobnemi pochwalić, cóż dopiero powiedzieć o owej ogromnej a wszechstronnej nauce Cieszkowskiego, który pismami w trzech językach zjednał sobie pierwszorzędne stanowisko w filozofji, historji i ekonomji politycznej, a nareszcie dowiódł znakomitych talentów w praktycznem ich zastosowaniu na sejmie berlińskim.

tu tylko o dwóch najgłówniejszych, że tak powiem, dogmatach ich wspomniemy, *a*) o trzeciej epoce, *b*) o misji Polski.

Że podział dotychczasowej historji świata na trzy epoki ze względu na charakter wieków jest mylny, a do tego czasu mamy właściwie dwie epoki, starożytną i chrześcijańską, dowiódł tego Cieszkowski w *Prolegomena zur Historiosophie*. Dalej nadto on sam w ›Ojczenaszu‹ a Krasiński w przedmowie do ›Przedświtu‹ i pośrednio w ›Irydjonie‹ i ›Komedji nieboskiej‹, że dzisiejszy nasz wiek pod względem społecznym uważany, dziwnie do czasów pierwszych cezarów podobny*). Obydwóch cechą wysoka materjalna cywilizacja, a obok niej nędza i zepsucie w ludzie, w klasach bogatszych zgniłość. W religji u jednych zwątpienie, u drugich martwe trzymanie się form bez przejęcia się duchem religji a tem mniej praktykowania jej zasad. ›W okręgach filozoficznej wiedzy pewność — ale braku tylko; dowód, ale krytyczny tylko, że przeszłość potrzebom ludzkości zadość uczynić nie zdolna.‹ Wszędzie niezadowolenie z teraźniejszości, ztąd jeden przewrot społeczny po drugim. Środków do wybrnięcia z tego odmętu żadnych **).

W rzeczy samej zbliżanie się i to do prędko nastąpić mającej nowej a całkiem odmiennej od poprzedzających epoki jest tak bijącem w oczy, że o niej dość wyraźnie odzywają się głosy pomiędzy niektórymi dalej widzącymi cudzoziemcami. I tak La martine pisze w przedmowie do prześlicznie napisanego, a pono szczególnie, wobec tak uprawianej lektury niewartych romansów francuzkich, za mało czytywanego poematu: *Chûte d'un Ange: „L'esprit humain plus plein que jamais de l' esprit de Dieu qui le remue n'est il pas en travail de quelque grand enfentement religieux? qui en doute?*“ a dalej: „*ce sera une marche de plus d'un glorieux autel ou l' idée de Dieu sera plus exaltée et mieux adorée.* (Ażali duch ludzki pełniejszy, niż kiedy ducha Bożego, który nim porusza, nie jest w pracy jakiegoś wielkiego porodu religijnego? Któż o tem wątpi?.... Będzie to jeden pochód więcej do ołtarza chwalebnego, gdzie idea Boga będzie więcej umiłowaną i lepiej uczczoną) Ksiądz Hijacynt w Paryżu z ambony mówi: ›Powinniśmy się przygotować do wielkiego przekształcenia religijnego i społecznego, co zmieni postać świata tak, iż podobnego przeistoczenia nie było jeszcze, chyba raz przez chrześcijaństwo.‹ Gdy tak mówią ludzie przeważnie uczucia i natchnienia, z podobnemi zdaniami odzywają się i ludzie nauki. Tak Ahrens w ›Encyklopedji nauk prawnych i politycznych‹ pisze: Okres konstytucyjno-liberalny ma się ku końcowi (więc musi nastać nowy), a na str. 149 przyznaje najwyraźniej, że dopełnienie zwrotu drugiego, okres reformacji się kończy i że nastaje zwrot trzeci, i dalej: Jedynym środkiem od niechybnej zguby (grożącej w skutek rozprężenia stosunków społecznych przez nowożytny egoizm) jest lepsze przejęcie się duchem chrześcijaństwa. Z tych cytat, do których możnaby dodać nieskończoną ilość innych jeszcze, widać, że wszyscy czują nadchodzącą nową erę, słyszą jej głosy zbliżające się na czasów fali, ale nie wszyscy przeczuwają jej charakter i jej znaczenie. Podług naszych mistrzów jest niem pogodzenie materjalnego i duchowego pierwiastku w człowieku, złagodzenie rozstroju wprowadzonego w duszę ludzką przez oderwanie się zupełne ducha od ciała i dążenie pierwszego w zaświat z zupełnem zapoznaniem realnego stanowiska. Po doprowadzeniu takiem ludzkości na wyższy stopień rozwoju, człowiek uczuje się już nie wyosobnioną jednostką, ale owszem uzna się za powołanego do wspólnej pracy dla i śród bliźnich, a mianowicie tych, z którymi go najściślejsze węzły łączą, dla narodu. W ten sposób i obowiązek obywatelski i międzynarodowy w innym zupełnie przedstawią się świetle. A dopiero po zupełnem rozwinięciu się narodów nastanie ogólna harmonja interesów narodowych, jedna owczarnia i jeden pasterz. (C. d. n.)

*) Że podobieństwo to nie jest żadnem złudzeniem, świadczą o tem liczne wzmianki u historyków niemieckich i tak Szlosser mówiąc o Ksenofoncie pisze: *Schon dieses verräth eine Zeit, die der Unsrigen an Verwesung nahe stand.* Potem mówiąc o urządzeniach państw: *Die moderne, aber auch den bcsseren griechischen und römischen Kaisern eigenthümliche Vorstellung, welche bloss bei der übergebildeten Menschheit als einem verzogenen Kinde wahr sein mag. Es leuchtet nemlich überall der Gedanke hervor, dass derjenige Staat am besten eingerichtet sei, der die besten geschriebenen Gesetze besitzt, während es nur derjenige sein kann, in welchem die besten Sitten herschen.*

**) Ktoby się o tem podobieństwie epok lepiej przekonać pragnął, tego odsyłamy do wyżwymienionych dzieł, a mianowicie do „Ojczenasza‟.

TEATR POLSKI.

(„Dla miłego grosza.“ — O krytyce występów Jana Królikowskiego we Lwowie.)

W piątek t. j. 9. marca odegrano na scenie naszej po raz pierwszy komedję 4aktową Apolla Korzeniowskiego p. t. „Dla miłego grosza“. Jest to obrazek współczesny, usnuty na dość wyczerpanym już temacie: „miłość a pieniądze, uczucie a materja.“

Pominąwszy już organiczne wady techniki, jako to: rozwlekłość akcji, a przeto brak ruchu dramatycznego, gdzie niegdzie i brak psychologicznej prawdy w rozwoju charakterów, podnieść musimy niezdrową tendencję sztuki. Przedstawiać ujemne strony społeczeństwa ludzkiego jest zapewnie zadaniem komedji, ale takowe muszą być zrównoważone w samejże sztuce żywiołem zdrowym lub wychłostane dowcipem, by nie obudzić przykrego wrażenia w widzu i smutnej prawdy doświadczenia życia, jak często podłość tryumfuje nad cnotą. Autor przewinił przeciw tej kardynalnej zasadzie estetycznej. Raz, że stronę idealną reprezentuje zbyt słabo, powtóre że nemezis występuje już poniewczasie i upokorzenie podłości sprowadzone jest kunsztownie i w charakterze Anny nieuzasadnione. Anna (p. Szymańska) jest zresztą postacią nienaturalną — a to przynajmniej pewne, że niepolską. Do tak rafinowanego bezwstydu nie doprowadzono u nas jeszcze z wychowaniem dziewic. Drugą dla nas niepojętą rzeczą jest atrybut pułkownika (p. Królikowskiego) „były oficer wojsk napoleońskich“. Czyż zamierzył autor skazić drogą całemu narodowi tradycję bohaterów z pod Samosiery i Lipska? Cały zresztą utwor budzi pewien rodzaj niesmaku i niezadowolenia w publiczności, produkując niezręcznie brudy życia codzienne, z któremi lada gdzie spotkać się możemy. — Czyż na to chodzimy do teatru?

Jako o nowej akwizycji personażu tutejszego wspomnąć nam wypada o p. Miłowskim. P. Miłowski posiada niezawodnie talent, ale mało rutyny scenicznej i nie przydał się do roli Henryka, którego charakter satyryczny i stanowisko w sztuce, jako prowadzącego nić intrygi, wymaga niezbędnie wielkiej pewności w całem wystąpieniu.

Z niemałem zadziwieniem odczytaliśmy w dodatku do numeru 59 i w numerze 62 Gazety Narodowej recenzję występów p. Jana Królikowskiego we Lwowie. Recenzent Gazety Narodowej, ów najoptymistyczniejszy sędzia wszystkich miernot autorskich i zapoznanych talentów, który wbrew opinji w nich zawsze coś mistrzowskiego dopatrzyć się musiał, wyczerpał snać już zapas panegirycznych pochlebstw i frazesów i spróbował swych sił na polu odwrotnem.

Nim przystąpimy do bliższego ocenienia szacownej tej recenzji, poczuwamy się do obowiązku oznaczyć w tej mierze stanowisko nasze, że tak powiemy, broń, z którą w szranki stajemy.

Recenzja Gazety Narodowej nie jest krytyką, nie ma na celu przekonania czytelników o prawdziwości swych twierdzeń na zasadzie umiejętnych podstaw; jest to pamflet, składający się z doniesienia zakulisowych ploteczek i bezzasadnych wyroczni pod wpływem niepojętej zawiści pisanych.

Stanowisko przeto nasze nie może być umiejętne, nie kusimy się wcale udowadniać recenzentowi G. N. bezzasadności jego twierdzeń — boć trudno mówić ciemnemu o barwach. Treść za to recenzji samej a mianowicie odrębna i charakterystyczna logika recenzenta nastręczy nam obfity do tego materjał.

Pod jednym względem przyznać musimy recenzentowi G. N. talent znakomity. Jest to owa mrówcza skrzętność, z którą wszystkie nowinki i ploteczki zakulisowe zebrał i w tak nadobnym obrazku przedstawił, ów niezwykły dowcip i spryt śledczy, z którym te drobiazgi z cieni garderobianych na świat wywlec potrafił. Podziwiamy w tem

recenzenta, ale niestety jesteśmy innego zdania. Każdy stan lub zawód ma też i specjalne swe nieporozumienia i kwasy z odrębnego właśnie zajęcia wynikające, których — że tak powiemy — specyficznej siły ogół publiczności należytą miarą ocenić nie może. Małe nieporozumienia uważać będzie za intrygi i brudy i nie potępi jednostki, ale ryczałtowo całą kastę. Jest rzeczą przeto rozsądku, a nadto ważnym obowiązkiem w obec sztuki przestrzegać, by takie objawy w zawodzie artystycznym zresztą tak łatwo tłumaczyć się dające, pozostały w obrębie koleżeństwa, jako sprawy czysto domowe. Rehabilitacja w obec opinji publicznie bez dostatecznych powodów, znamionuje brak taktu, brak poszanowania zawodu artystycznego i przypomina stare przysłowie: Uderz w stół itd. Czem będzie dopiero wywlekanie kwasów domowych, zawiadamianie o nich publiczności, kłócenie artystów z publicznością i tem podobne sztuczki kuglarskie — a to bez powodu słusznego.

Przystąpmy do oceny artystycznej.

Recenzent utrzymuje: „Wojewodę w Mazepie odegrał p. Królikowski po mistrzowsku"... a na innem miejscu: „Spodziewamy się też, że dopóki papryka i assafetyda nie zastąpią w potrawach soli i korzeni, dopóty i pewne sposoby gry będą należały na klinikę chirurgiczną i do szpitalu opętańców, do doświadczeń galwanizmu, a nie do zasad prawdziwej sztuki."

Czyż podobna by malarz, który utworzył jedno arcydzieło, w tymże samym rodzaju swej sztuki, pod temi samemi okolicznościami tworzył karykatury? Czyż podobna, by artyście przedstawiającemu posągowy charakter Wojewody w Mazepie po mistrzowsku, zabrakło talentu do przedstawienia ról innych, mniej siły artystycznej wymagających?

Recenzent snać nie zdoła rozróżnić dwóch kardynalnych pojęć, t. j. pojęcia roli i jej wykonania.

Recenzent nazywa p. J. Królikowskiego wirtuozem scenicznym, nadużywającym mimiki, a zarzuca jego grze: ociężałość i monotonność. Jest to po prostu tyle, co białe jest czarnem, a czarne białem. Czyż może być gra, która kalejdoskopiczną rozmaitością rozrywa raczej uwagę widza, monotonną i ociężałą.

Na innem miejscu zauważa recenzent: „Resztę ról, które grał p. K., jak Garrika w Robinie, Sołoduchy w Miodzie Kasztelańskim, Czeladnika w Dwóch aniołach opiekuńczych, mogą i nasi artyści odegrać, chociaż nie z tak mistrzowskiem wykończeniem i w najdrobniejszych szczegółach."

Rozchodzi się więc o tę drobną różnicę, o mistrzowskie wykończenie w najdrobniejszych szczegółach, stanowiące artystę. O naiwna prostoto! Wszak prawda, i pan Nowakowski występywał już w roli Franciszka Mora!

Nareszcie dostrzegł autor życzliwości pp. Nowakowskich dla kochanego i wielbionego gościa, a to na scenie przy produkcji. Nie sprawdzamy tego faktu, bo rzecz ta należy do esencjonalnych funkcyj p. recenzenta G. N. — ależ niech wolno nam będzie uczynić skromną uwagę: że dotychczas jeszcze szkieł tak ostrych nie wynaleziono.

Tyle słów zda nam się wystarczy, by ocenić wartość i tendencję recenzji Gazety Narodowej.

Biorąc inicjatywę w sprawie niniejszej, nie zamierzamy bronić wartości artystycznej gry p. Królikowskiego, bo mamy pewność, że publiczność nasza według zasług oceniła tego najznakomitszego w swym rodzaju artystę polskiego i wdzięcznie w swej pamięci go zapisała, ale protestujemy publicznie przeciw głosowi, który nadużywając godności recenzenta i wpływu poważnego dziennika miejscowego, odważa się bezzasadne a niegodziwe swe zdanie narzucać opinji publicznej i kompromituje estetyczny smak i gościnność lwowskiej publiczności w obec całej Polski.

K. Ż.

Przegląd naukowy, literacki i artystyczny.

— Warszawskiego „Ekonomisty" zeszyt pierwszy z r. 1866 wyszedł dopiero teraz i zawiera: Rys historyczny budżetu w Polsce przez H. Rossmanna (ciąg dalszy) — Ósmy kongres ekonomistów niemieckich w Norymberdze r. 1865. — O mniemanem podwyższeniu się ceny ziemi. — Dochody z miast królestwa Polskiego za rok 1863. — Warszawski komitet powszechnej wystawy paryzkiej.

— Konrad Wallenrod wyszedł był przed kilku laty z pięknemi ilustracjami staraniem Władysława Mickiewicza, syna Adama. Obecnie wydał Władysław Mickiewicz tę samą edycję z temiż ilustracjami w wolnym przekładzie francuzkim z przedmową objaśniającą opiewany przez naszego wieszcza przedmiot, pod tytułem: „Conrad Wallenrod, Legende historique d'après les chroniques de Lithuanie et de Prusse, par Adam Mickiewicz. Traduction de l'un des fils de l'auteur avec l'introduction d'Armand Lévy et Gravures sur acier d'après Antoine Zaleski. Paris. Libraire du Luxembourg 1866." Autor poświęca swą pracę Bonawenturze i Janowi Zaleskim ku pamięci roku 1827.

— Drugim ważnym przekładem na język francuzki Władysława Mickiewicza są pamiętniki Soplicy, zmarłego niedawno Henryka Rzewuskiego. Tłumacz zasługuje się ojczyźnie, zaznajamiając obcych z arcydziełami, malującemi tak trafnie nasze obyczaje, życie publiczne i towarzyskie. Przez to głównie nabywa obcy nam naród dokładniejszych pojęć o Polsce, wnikając niejako bezpośrednio w jej dzieje, stosunki towarzyskie a nawet domowe. Tłumaczeniu temu dodana jest przedmowa, objaśniająca obcych z czasem, od którego te pamiętniki się odnoszą, zarazem w ciągu tekstu samego dołączone są liczne komentarze ze strony tłumacza, wyjaśniające bliżej podane w pamiętnikach wypadki, wyrażenia, godności i t. d. Również uważał tłumacz za potrzebne przydać swemu przekładowi ilustracje, przedstawiające pojedyńcze sceny pamiętników, oraz podał w pięknym wykonaniu popiersia ks. Karola Radziwiłła, Kazimierza Puławskiego, Tadeusza Reytana. Przekładowi swemu dał tłumacz taki tytuł: „Bibliothèque Franco-Polonaise. Les Récits d'un vieux gentilhomme Polonais, traduction, préface et notes de Ladislas Mickiewicz, avec eaux fortes et illustrations de Bronislas Zaleski et Elviro Andriolli. Paris. Librairie du Luxembourg 1866."

— Z wychodzących w Lipsku kronik niemieckich miast od 14go do 16go wieku wyszedł teraz tom czwarty: Kronika Augsburga. Wydawnictwem tem zajmuje się historyczna komisja akademji nauk w Monachium.

— W Berlinie wyszło obecnie (1866) dzieło ważne dla miłośników numizmatyki Rentmanna: „Uzupełnienia skróceń tytułów znajdujących się na monetach i spis nazwisk miast i krajów wybitych na monetach." Autorowi chodziło o to, by numizmatykom podać sposób z imienia wybitego na monecie jako też i z tytułu skróconego czasem tak, iż go zupełnie nie można zrozumieć, oznaczyć jaką jest monetą i do jakiego czasu odnieść ją należy.

— W Wiedniu wychodzi przekład Historji Anglji Tomasza Macaulay'a, zalecający się szczególną taniością. Całe dzieło składać się będzie z dwudziestu zeszytów, wychodzących co dwa tygodnie, z których każdy kosztuje 40 ct. w. a. Dla nieumiejących po angielsku wydanie to będzie bardzo pożądanem, gdyż tłumaczenia francuskie z angielskiego zwykle bywają liche, a polskiego przekładu całego dzieła Macaulay'a dotychczas nie posiadamy.

— Hildebranda roczników poświęconych ekonomji i statystyce wyszedł w Jenie zeszyt drugi za rok 1866 i zawiera: 1) Hildebranda: Urzędowa statystyka ludności w dawnym Rzymie. — 2) Majera: Zasady zaludnienia faktycznego i prawnego. Chodzi autorowi o ulepszenie systemu obliczania ludności. W tym celu rozróżnia zaludnienie faktyczne t. j. liczbę znajdujących się obecnie w kraju ludzi, i prawne t. j. liczbę wszystkich poddanych państwa (Staatsangehörige). Rozróżnia dalej ludność trwale przebywającą, którą się oznacza, gdy od liczby faktycznego zaludnienia odciągnie się przemijająco zamieszkałych, a doda do niej liczbę chwilowo nieobecnych. Jako chwilowo obecnych lub nieobecnych uważa tych, których obecność lub nieobecność nie trwa dłużej jak sześć miesięcy. — 3) Rozwój rzemiosł w miastach królestwa Bawarji, przez Dr. Majera. — 4) Literatura. — 5) Rozmaitości.

— Wychodzącego w Tübingen pisma: „Zeitschrift für die gesammte Staatswissenschaft" ostatni zeszyt zawiera: 1) Heyd'a: O włoskich handlowych osadach na Cyprze. — 2) Spór o akcyzę prowadzony przez niemieckich teoretycznych finansistów w 17 i 18 wieku. — 3) Justus Möser jako ekonomista — rozprawa jednego z najsłynniejszych niemieckich ekonomistów W. Roschera. — 4) Rozmaitości. — 5) Wiadomości literackie. 6) Bibliografja.

— Fr. Bitzer: „Die Genesis der Volkswirthschaft" — Stuttgart 1866. Autor usiłuje gienetycznie rozwinąć główne stosunki w gospodarstwie społecznem; wychodzi on nie od społeczeństwa, nie od człowieka jako członka społeczeństwa (Arystotelesa: zwierzę polityczne) — ale od człowieka jako indywiduum. Rzecz jednak prosta, że jak w badaniach gospodarstwa społecznego niepodobna konsekwentnie się utrzymać na tem czysto indywidualnem stanowisku, tak też bardzo wiele kwestyj tylko ze stanowiska uspołecznienia gruntownie zbadać można.

— A. Lindwurm: Zarysy gospodarstwa rządowego i prywatnego w stosunku do prawoznawstwa i innych pokrewnych nauk.

— Wyszedł drugi tom dzieła Dr. Samuela Majera: Prawa Izraelitów, Ateńczyków i Rzymian. Tom drugi zawiera prawo prywatne. Pierwszy, który wyszedł r. 1861 zawiera prawo publiczne.

Wydawca i odpow. redaktor Bronisław Zamorski. Główny współpracownik Karol Widman. Z drukarni E. Winiarza.